

# Historia nam w końcu przyznała rację

Marek Muszyński

Uważam, że Sierpień 1980 wybuchł we Wrocławiu ze zdwojoną energią dlatego, że jego siłą napędową była duża grupa studenckich buntowników z 1968 roku, która – niepokodzona z systemem – przez lata przechowywała w sercu tamte wartości. Wspomagali ich ci naukowcy, którzy 12 lat wcześniej zaczęli swe kariery na uczelniach i z sympatią, a niekiedy z ostentacyjnym poparciem odnosili się do studenckich postulatów, nawołujących między innymi do odświeżenia zatęchłej atmosfery panującej w szkołach wyższych.

W Marcu byli w tym wieku, gdy realizuje się ideały wyniesione z domu, a ogląd świata jest czarno-biały. Studiowałem wtedy fizykę na Uniwersytecie, gdzie opór i bunt przeciw zakłamanemu władzy był w Marcu 1968 szczególnie silny, a jak groźny dla rządzących, najlepiej świadczą sankcje wobec studentów: relegowania, wcielenia do wojska (z użyciem „studenckich” żołnierzy podczas inwazji na Czechosłowację włącznie), wyroki sądowe. Mnie – za pisanie ulotek – objął artykuł 23. małego kodeksu karnego, który przewidywał „w okresie odbudowy państwa polskiego” kary od 3 lat pozbawienia wolności do kary śmierci. Na szczęście sąd zmienił kwalifikację czynu, dostałem jakiś wyrok w zawieszeniu i bez wcielenia do wojska mogłem wrócić na uczelnię, gdzie rektorem był świętej pamięci profesor Alfred Jahn, który zapewniał, że póki on pełni tę funkcję, żadnemu studentowi włos z głowy nie spadnie. Słowa dotrzymał, wielu studentów wybronił, ale z tego powodu szybko przestał być rektorem.

W 1971 roku zacząłem pracę na Politechnice w Instytucie Fizyki.

Gdy opozycja w końcu lat siedemdziesiątych zaczęła działać jawnie, kiedy ukazywał się już „Biuletyn Dolnośląski”, krąg ludzi występujących przeciw władzy poszerzał się, a siłę naszej determinacji powiększył najpierw wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża, a potem Jego pierwsza pielgrzymka do Ojczyzny. Z Wrocławia na spotkanie z Ojcem Świętym najbliższe było do Częstochowy, w kilka osób postanowiliśmy jechać tam samochodami. Uderzyło nas to, że przez całą drogę nie



■ Marek Muszyński – przewodniczący Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Regionu Dolny Śląsk 1983-1987

widzieliśmy ani jednego drogowskazu z napisem „Częstochowa”. Po prostu w tamtych czasach takie miasto nie miało prawa oficjalnie istnieć. Pierwszy drogowskaz pojawił się na kilka kilometrów przed miastem. W każdym razie dotarliśmy na miejsce o czasie, a możliwość uczestnictwa w tak podniosłym wydarzeniu mocno nas podbudowała na duchu i gdy rodziła się „Solidarność”, czuliśmy się silni obecnością Jana Pawła II w naszych sercach.

Ze wspaniałych i burzliwych 16 miesięcy „Solidarności” pamiętam głównie ciężką pracę, kiedy trzeba było docierać do kilkudziesięciu jednostek organizacyjnych, by od dołu wypracowywać strukturę organizacji zakładowej. Byliśmy głodni demokracji – ustaliliśmy sobie na przykład próg kworum na 2/3 (i nie było z tym problemów), a ja jeździłem od instytutu do instytutu na zebrania w organizacjach oddziałowych, pomagałem prowadzić obrady, tłumaczyć zasady ordynacji. To były wielogodzinne mityngi polityczne, podczas których ludzie spragnieni dyskusji poruszali tematy od Sasa do Lasa, aż zaczynało brakować czasu na sprawy wyborcze. W pewnym momencie trzeba było odwrócić porządek: najpierw wybory, a potem – do woli – forum wymiany wolnej myśli.

Po wielu incydentach i prowokacjach wobec związku wiedzieliśmy, że trzeba się przygotować

na niespodziewaną konieczność odparcia ataku władz (wtedy nazywanego stanem wyjątkowym). Stopień przygotowań był zróżnicowany. Na Dolnym Śląsku w tzw. Sieci Zakładów Wiodących skupionych było 15 największych zakładów pracy, w tym i Politechnika, której przypadła rola utrzymywania łączności z przedsiębiorstwami po prawej stronie Odry. Mieliśmy za sobą próbę generalną w czasie konfliktu bydgoskiego w marcu 1981 roku, gdy odbył się już strajk ostrzegawczy i trwały przygotowania do strajku generalnego. W takiej sytuacji związek przejmował na uczelni władzę, a ja byłem zastępcą do spraw organizacyjnych. To był niezły trening, próba wypadła bardzo dobrze, ale obie strony jakoś się dogadały i tym samym nasza gotowość została zminimalizowana, uszło z nas powietrze, którego nie nabraliśmy już w odpowiedniej ilości aż do stanu wojennego, kiedy głównie zawiodła nas łączność. W marcu 1981 roku byliśmy świadomi, że władza odetnie nam telefony, więc zapewniliśmy sobie dostęp do łączy kolejowych i energetyki, które były niezależne od jedynej oficjalnej sieci telekomunikacji. A w grudniu już się tak nie dało, telefony odcięto, zostaliśmy bez kanałów łączności.

W pierwszych dniach stanu wojennego sytuacja była podobna jak w całym kraju. Z całą tą scenografią, komisarzami wojskowymi i czołgami na ulicach oraz strajkami. Byłem przewodniczącym Komitetu Strajkowego na Politechnice, wiceprzewodniczącymi byli profesor Andrzej Wiszniewski i Bernard Afeltowicz jako przedstawiciel studentów. Po rozbiciu strajku przychodziliśmy do pracy i ratowaliśmy to, co się dało, z pomieszczeń Komisji Zakładowej; znajdowały się tam książki, kilka ton papieru, różne solidarnościowe „dewocjonalia” (dokumentacja i spisy członków zostały wcześniej, jeszcze w czasie strajku, usunięte i zabezpieczone).

Nieoceniona Jadzia Szymonik rozpoczęła tę akcję zaraz po 15 grudnia. Wynosiliśmy to pod okiem ZOMO i ładowaliśmy na konną łorę. Niestety, wkrótce SB nam to uniemożliwiła. Bezpieczniacy codziennie składali wizytę w moim instytucie i dopytywali się o mnie. Natychmiast wiedziałem, że są, bo ostrzegano mnie, i znikalem. Bawiliśmy się w kotka i myszkę do końca stycznia. Potem na dobre zapadłem się „pod ziemię”.

Z domu wyszedłem 13 grudnia 1981 roku o godzinie piątej rano, a wróciłem 26 października 1986 roku. Wpadłem tam tylko raz, i to na chwili-

łą, po liście gończym, gdzieś na przełomie wiosny i lata 1982 r. Żona musiała zaakceptować moje ukrywanie. Ważne było, by wiedziała, że żyję, lepiej natomiast, że nie wiedziała, gdzie jestem. A mieszkalem w kilkudziesięciu różnych miejscach. Z zasady u nikogo z przyjaciół, zawsze u ludzi całkowicie mi nieznanym. Zaufałem moim najbliższym współpracownikom, którzy to organizowali. Dzisiaj mówi się o nas jak o bohaterach, ale tak naprawdę to bohaterami byli ci, którzy to wszystko organizowali i którzy nas ukrywali. Jeśli mówimy o silnym podziemiu i o twierdzy konspiracji we Wrocławiu, to zawdzięczamy to ludziom z zaplecza. A warto pamiętać, że Wrocław musiał „pomieścić” dwie niezależne, konspiracyjne organizacje – Regionalny Komitet Strajkowy (RKS) i Solidarność Walcząca.

Regionalny Komitet Strajkowy formalnie powstał 13 grudnia 1981 roku w Pafawagu. Jego członkami zostali przedstawiciele Tajnych Komisji Zakładowych w liczbie kilkunastu osób. Skład RKS w ciągu tych lat zmieniał się zarówno liczebnie, jak i personalnie. Wynikało to między innymi ze względów bezpieczeństwa.

Początkowo dokumenty podpisywały trzy osoby: Władysław Frasyniuk, Piotr Bednarz i Józef Pinior. Później przedstawiciele zakładów uzyskali status członków Regionalnego Komitetu Strajkowego. Był to zresztą okres, kiedy właściwa struktura RKS-u dopiero miała się uformować, a podejmowane działania były dość chaotyczne. Jeszcze za czasów Władysława Frasyniuka, 10 czerwca 1982 roku, odszedł Kornel Morawiecki, który zajmował się poligrafia i redagowaniem „Z dnia na dzień”.

Po dwóch pierwszych wpadkach szefów RKS-u powstała komisja analizująca ich przyczyny. Krótko po tym aresztowano Józefa Piniora. Ze strony RKS-u nadzorowałem pracę tej komisji, byłem więc bogatszy o jej ustalenia. Wiedziałem, co muszę zmienić. Niestety, trzeba było odsunąć wiceprzewodniczącego, na którego padł cień podejrzeń. Trzeba było też zmienić wszystkie struktury, o których on wiedział. Wszystkie – łącznie z po-

ligrafia, kolportażem, organizacją RKS-u. Gigantyczna operacja organizacyjna.

Wobec braku zaufania do wskazanego przez Piniora następcy Regionalny Komitet Strajkowy chciał – bagatela – powierzyć mi funkcję przewodniczącego. Dla mnie była to decyzja bardzo trudna. Przeważało szalę to, że pozostając w ukryciu i tak



byłem „skazany na pożarcie”. Więc powiedziałem „zgadzam się” – pamiętam jak dziś – 23 maja 1983 roku. Na posiedzeniu Regionalnego Komitetu Strajkowego odbyło się tego dnia formalne głosowanie, w wyniku którego zostałem wybrany na przewodniczącego.

Z nakazu Regionalnego Komitetu Strajkowego i ze względów bezpieczeństwa przyjąłem pseudonim „Witold” i byłem tym „Witoldem” prawie cały rok, do maja 1984 roku. Nieco wcześniej otrzymaliśmy informacje, że SB albo rozszyfrowała, kto ukrywa się pod tym pseudonimem, albo też zawęziła podejrzenia do grona dwóch osób. Nie przypisywałem pseudonimowi aż tak dużego znaczenia. Uważałem ten sposób zwiększenia bezpieczeństwa za dość iluzoryczny. Uważałem jednak także, że nie mam nazwiska znanego z okresu przedgrudniowego i dla szeregowych członków związku pseudonim „Witold” czy nazwisko Muszyński są niemal tak samo anonimowe. Do rezygnacji z pseudonimu nakłaniali mnie bardzo energicznie moi koledzy w Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, którzy podpisywali oświadczenia własnymi nazwiskami, ale musiałem uzyskać na to zgodę Regionalnego Komitetu Strajkowego.

Od razu po moim wyborze pojawiły się wielkie trudności z poligrafią. Ukazywało się wówczas tylko „Z dnia na dzień” – ot, jedna dwustronnie zadrukowana kartka formatu A4. Trudności dotyczyły zarówno pracy redakcji, jak i druku. Nie zgodziłem się na „przerwę wakacyjną” dla redakcji, co spowodowało konieczność poszukania nowego zespołu. Początkowo musiałem redagować sam. Zwiększyliśmy wówczas objętość pisma do czterech stron. Natomiast okres wakacyjny wykorzystaliśmy na zmiany organizacyjne, szczególnie w kierunku umocnienia bezpiecznych kontaktów z zakładami pracy oraz odtworzenia wielu agend RKS. Te wakacje, które są okresem urlopowym także dla SB, bardzo nam się wówczas przydały. Gdy zostałem przewodniczącym, pierwszą rzeczą, na jaką zwróciłem szczególną uwagę, było zapewnienie podziemnym strukturom bezpieczeństwa. Drugim problemem była poligrafia – musieliśmy pokazać, że RKS jest i że działa. Trzecia kwestia to brak pieniędzy, czyli słynne 80 mln zł, do których nie mieliśmy dostępu. Znaczną pomoc uzyskaliśmy w tamtym czasie od Solidarności Walczącej i osobiście od Kornela Morawieckiego. Solidarność Walcząca złożyła nam nawet deklarację pomocy finansowej, nie mogłem jej jednak przyjąć, by zbyt nie uzależnić się od tej organizacji.

W kwietniu 1982 roku powstała Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność”, a pierwszy jej komunikat podpisali ludzie znani w całym kraju, autorytety. Wtedy, w pierwszych miesią-

cach stanu wojennego, TKK była raczej symbolem i świadectwem istnienia związku niż faktycznym jego kierownictwem. Gdy ja wchodziłem do TKK w 1983 roku, sytuacja w kraju była już inna. Miałem świadomość, że walka podziemnego związku liczona będzie nie na miesiące, lecz na lata, i że potrzebne jest faktyczne kierownictwo operacyjne. Dlatego rozpoczęliśmy wraz z Gienkiem Szumiejką – również członkiem TKK – długotrwałe i trudne zabiegi o przekształcenie TKK w tym właśnie duchu. Chodziło nam głównie o rozszerzenie jej składu o reprezentantów innych regionów, położenie większego nacisku na sprawy organizacyjne, zniesienie zasady weta przy podejmowaniu decyzji. Udało się to w pełni dopiero w 1986 roku.

Niektórzy korespondenci zagraniczni za szefa Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej uważali Zbyszka Bujaka, i on chyba nawet nie protestował, ale tak naprawdę nie było ani przewodniczącego, ani prezydium.

Wewnętrzny regulamin spisano dopiero w roku 1986. Poprzednio obowiązywało nas wypracowanie consensusu. To znaczy spieraliśmy się bardzo ostro, ale opublikowana decyzja wymagała zgody wszystkich członków, czyli w rezultacie obowiązywała zasada weta. Miało to czasem dobre strony, ale później – w roku 1985 i na początku 1986 – przyczyniło się do paraliżowania działań TKK. W zebraniach brali udział doradcy, czasem zaproszeni goście, ale tylko członkowie mieli prawo głosu.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, sędzę, że różnice w koncepcjach funkcjonowania związku w regionach – głównie między rozwiązaniem dolnośląskim i małopolskim z jednej strony, a mazowieckim z drugiej – były przyczyną większości sporów. U nas podstawą była obecność struktur związkowych w zakładach pracy i niezmiennie obowiązywała zasada przedstawicielstwa tych struktur w ciałach związkowych, takich jak Międzyzakładowa Komisja Koordynacyjna, i wyżej, w Regionalnym Komitecie Strajkowym. Dla nas struktury związkowe składały się z przedstawicieli delegowanych przez grupy związkowe, a nie z ludzi o trochę bardziej znanych nazwiskach. Natomiast na Mazowszu skupiono się znacznie bardziej na – nierzadko spektakularnych – działaniach wąskich grup związkowych, pozwalając, by więz z zakładami wędła. Warszawskie gremium kierownicze było grupą liderów o znanych nazwiskach, a nie autentycznych delegatów niższych struktur związkowych. My do działalności społeczno-politycznej podchodziliśmy jak amatorzy, a nasi koledzy z Warszawy jak zawodowcy. A to ogromna różnica w sposobie widzenia, w koncepcjach działania. Podam taki przykład: gdy wzywaliśmy do bojkotu wyborów do rad narodowych,

trzeba było w TKK mocno wojować, by jednocześnie ogłosić, że związek podejmuje niezależną kontrolę frekwencji. Niektórzy członkowie nie chcieli nawet otwartego wezwania do bojkotu, nie mówiąc już o niezależnej kontroli.

Jaki był udział Regionalnego Komitetu Strajkowego w bojkocie, trudno powiedzieć, ale wysiłek organizacyjny był ogromny. Zarówno w przygotowaniu propagandowym, jak i w akcji sprawdzania frekwencji. Muszę tu podkreślić, że sprawdzanie było bardzo rzetelne, i mogę gwarantować, że podany przez nas wynik był prawdziwy. Może nawet nieco zawyżony. W wyborach do Sejmu, kiedy to frekwencja była nieco wyższa niż do rad narodowych w 1984 roku, ocenialiśmy, że wyniosła 45 proc., czyli mniej więcej o 25 proc. mniej, niż podawał komunikat władz, i co najmniej o 10 proc. mniej niż frekwencja obliczana przez związek w innych regionach. To był wielki wysiłek struktur związkowych, ale i wielki sukces. Żadne duże miasto w Polsce nawet nie zbliżyło się do tego wyniku, i to zarówno podczas wyborów do Sejmu, jak i rad narodowych.

W stolicy rozpuszczano o mnie niesłychane plotki, na przykład tę, że nie lubię kultury i nauki i chcę przekazać na cele związkowe wszystkie pieniądze, jakie otrzymuje niezależna kultura. Z kulturą było tak. W roku bodaj 1985 zwrócili się do mnie przedstawiciele wrocławskiego Komitetu Kultury Niezależnej z prośbą, bym użył swego autorytetu w celu zwiększenia kwot, jakie otrzymywali z Warszawy. Środki na ten cel pochodziły z dotacji rozmaitych zachodnioeuropejskich i amerykańskich fundacji oraz stowarzyszeń. Gdy zbadałem sprawę, włosy stanęły mi dęba. Większość otrzymywanych pieniędzy zostawała w Warszawie, a tylko resztką docierała w głąb kraju. To już było coś więcej niż podział na Polskę A i B. Zacząłem na gruncie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej intensywnie zabiegać o zmianę tej sytuacji. Jednocześnie doradziłem wrocławskim kolegom, aby się zjednoczyli – w ten sposób powstało dolnośląskie Porozumienie Społecznych Komitetów Kultury, Nauki, Oświaty i Zdrowia. Tak więc starałem się wydrzeć nie od kultury czy nauki, ale dla dolnośląskiej kultury i nauki.

W początkach 1986 roku sytuacja związku wydawała się ustabilizowana. Na Dolnym Śląsku dostrzegaliśmy wzrost aktywności i sumy odprowadzanych składek, byliśmy pełni optymizmu. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna planowała zorganizowanie tajnego zjazdu „Solidarności” – no, oczywiście nie takiego jak pierwszy w Olivii, ale z udziałem kilkudziesięciu delegatów ze wszystkich regionów. Wszystko było przygotowane w najdrobniejszych szczegółach, aż tu jakiś tydzień

wcześniej, 31 maja, aresztowano w Warszawie Zbyszka Bujaka i dwóch jego kolegów z Regionalnej Komisji Wykonawczej. To był silny cios dla nas wszystkich. W Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej pozostało już tylko dwóch ludzi z jawnymi nazwiskami – Jan Górny i ja. Ale czasem tak bywa, że nieszczęścia mobilizują ludzi. TKK, na przekór wszystkiemu, mogła działać intensywniej. Było to zresztą, o ironio, łatwiejsze. W poprzednich miesiącach bowiem różnica koncepcji działania związku między Mazowszem i Polską południową niemal sparaliżowała aktywność TKK. W ciągu paru następnych miesięcy zrobiliśmy wiele – od ustalenia i przyjęcia zasad działania związku w podziemiu, łącznie z rozszerzeniem TKK o przedstawicieli pozostałych siedmiu regionów, po afiliację „Solidarności” w Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych w Brukseli i Światowej Konfederacji Pracy. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna zaczęła działać sprawniej, a związek uzyskał wreszcie kierownictwo operacyjne z prawdziwego zdarzenia, choć dla tych, którzy oceniają te sprawy pod kątem liczby wydawanych oświadczeń, nie było to może takie widoczne.

Nikt nie wiedział, co wpadło razem ze Zbyszkiem, dlatego zjazd trzeba było odwołać, jak się wkrótce okazało – słusznie.

Aresztowanie Zbyszka przeraziło grupę warszawskich doradców. Jak sądzę, wielu z nich uważało, że jest to koniec związku, a co najmniej koniec kontroli, jaką oni sprawowali nad krajowym kierownictwem „Solidarności”. Sprawy zaszły tak daleko, że w czerwcu chciano zorganizować w związku coś na kształt zamachu stanu. Zamachu, który zapewne miał na celu usunięcie TKK. Doszło do tego na spotkaniu przedstawicieli samorządów pracowniczych, które zaplanowano w połowie czerwca we Wrocławiu. Otrzymaliśmy informację o tych planach, TKK zebrało się w trybie nagłym parę dni wcześniej i to oraz zdrowy rozsądek większości wrocławskich uczestników spotkania spowodowało, że zamach został udaremniony. Zrozumieliśmy jednak, że grupa warszawskich „planistów” na tym nie poprzestanie i będzie nadal próbować likwidacji kierownictwa krajowego, rozumianego jako gremium przedstawicieli struktur związkowych. Robiono to na różne sposoby, najczęściej głosząc tezę, że związek i jego struktury to przeszłość, a pozostała tylko idea, amorficzny ruch i grupa sprawdzonych liderów. Że diabli wiedzą, kto zacz ci przedstawiciele struktur (może jacyś agenci), a dawni działacze zdobyli sobie kredyt zaufania, i tak dalej, i tym podobne. Różnie argumentowano. Jednocześnie, skądinąd słusznie oceniając, że głównym architektem i motorem takiej właśnie roli i sposobu funkcjonowania Tym-

czasowej Komisji Koordynacyjnej jest dolnośląski Regionalny Komitet Strajkowy, zaczęto podważać jego wiarygodność. Stąd brały się te „w największym zaufaniu” rozpущane „rewelacje”, że Regionalny Komitet Strajkowy to fikcja, że nie ma on żadnego oparcia w zakładach pracy, i tym podobne. Posunięto się nawet do prób powoływania konkurencyjnego, „prawdziwie robotniczego” – jak go nazywali – RKS-u. Nie usiłowaliśmy nawet polemizować z tymi bredniami, uważając, że fakty mówią same za siebie. „Fikcja”, która zbiera 10 razy więcej składek niż jakikolwiek inny region, która potrafi zorganizować i skutecznie przeprowadzić kontrolę fałszerstwa wyborczego – zaiste, to dopiero prawdziwa dialektyka. Tak samo zresztą oceniali to dolnośląscy działacze „Solidarności”, nawet ci niezwiązani ze strukturami Regionalnego Komitetu Strajkowego. Nie znaleziono wówczas nikogo, kto chciałby firmować te rozbijackie poczynania.

11 września 1986 roku zwolniono więźniów politycznych. To był dla nas wielki dzień. Przecież właśnie na Dolnym Śląsku prowadziliśmy najintensywniejszą kampanię w obronie więzionych za przekonania, pod naczelnym hasłem „Uwolnić Władysława Frasyniuka”. I 11 września był dla nas niejako dniem zwycięstwa. Na wolność wyszli ludzie o znanych nazwiskach, którym temperament działaczy nie pozwalał jednak zadowolić się rolą doradców, kombatanckich autorytetów. Nie mogli również z różnych względów, a też chyba i nie chcieli, schodzić do podziemia. I tu właśnie ze zwielokrotnioną ostrością pojawił się stary problem: czy kierownictwo związku, zarówno krajowe, jak i regionalne, ma grupować przedstawicieli struktur, czy też przywódców o znanych z przeszłości nazwiskach. Dolnośląski RKS opowiadał się zawsze za reprezentacją struktur, i to możliwie dobrze zakonspirowaną.

Początkowo próbowano utworzyć jawną radę kilkudziesięcioosobową powołaną imiennie przez Lecha Wałęsę lub Tymczasową Komisję Koordynacyjną. Na to nie było zgody, ale Lech Wałęsa – być może pod groźbą nieuchronnego ujawnienia się Regionalnej Komisji Wykonawczej Mazowsze – zdecydował się powołać niewielką radę, w skład której wchodziłi byli członkowie TKK, choć też nie wszyscy. Wchodziłi jawnie i działali, a może raczej się spotykali, bo innego działania to tam chyba nie było. Odkąd się to w atmosferze buńczucznych enuncjacji niektórych działaczy, że związek kończy swą działalność podziemną. Na szczęście tylko nieliczne struktury zakładowe posłuchały tych wezwań do ujawnienia. Gdyby było inaczej, to rzeczywiście byłby koniec „Solidarności”. Ale to zamieszanie przyniosło wiele szkody. My czuliśmy się wtedy bardzo przygnębieni. W Regionalnym Komitecie Strajkowym zdecydowaliśmy, że nadal

podstawą działania związku są tajne struktury w zakładach pracy, tajne struktury międzyzakładowe i regionalne. Po prostu zdawaliśmy sobie sprawę, że dobrze zorganizowane tajne struktury są niejako polisą ubezpieczeniową dla struktur jawnych. Wiedzieliśmy, że te jawne bez ubezpieczenia i wsparcia ze strony tajnych skazane są na natychmiastową likwidację.

Wkrótce po utworzeniu Tymczasowej Rady „Solidarności” odbyło się spotkanie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej z Lechem Wałęsą, na którym Wałęsa potwierdził nie tylko konieczność istnienia tajnych struktur, ale również ich priorytet. To było bardzo burzliwe posiedzenie, a końcowe oświadczenie, podpisane też przez Lecha Wałęsę, współbrzmiało z wcześniejszą deklaracją naszego Regionalnego Komitetu Strajkowego. Ale przewodniczący zażądał od nas, a ściślej od Janka Górnego i ode mnie, byśmy przestali się ukrywać. Spełniłem to polecenie w ten sposób, że wziąłem udział w niedzielnej mszy świętej w kościele przy alei Pracy i poszedłem do domu, po raz pierwszy od niemal pięciu lat nie rozglądając się dookoła, czy jestem śledzony. Oczywiście, byłem. W parę dni później zatrzymano mnie i wszczęto śledztwo.

Ukrywanie się przez wiele lat nie było lekkie ani dla mnie, ani też dla mej rodziny. Ale decyzja o wyjściu na powierzchnię nie miała nic wspólnego z moimi osobistymi uczuciami. Uważałem wówczas, że wprowadzić dla Regionalnego Komitetu Strajkowego będzie to trudna próba, ale że jest to cena, którą trzeba zapłacić za ustalenia podjęte przez Tymczasową Komisję Koordynacyjną i Lecha Wałęsę, ustalenia korzystne dla całości związku. Uważałem, że te ustalenia są wiążące dla wszystkich, którzy je podejmowali. Być może to zaufanie było błędem, bo przyszłość nie potwierdziła moich oczekiwań. W każdym razie pozostawałem przewodniczącym RKS do maja 1987 roku, to znaczy do końca mojej kadencji.

Mogłem ubiegać się o kolejną kadencję, czego chcieli koledzy z RKS, ale istniały dwa zasadnicze powody mojego odejścia. Pierwszy to przekonanie, że zapisana w statucie zasada dwukadencyjności nie powinna być łamana. Każda władza, także związkowa, powoduje jakieś skrzywienie, deprawuje człowieka i po czterech latach powinno się odejść. Dla swego dobra i dla dobra innych. Drugi powód był związany z napięciem istniejącym między Władysławem Frasyniukiem a RKS-em. Uważałem, że być może ja jestem tego przyczyną, że może to mój charakter utrudnia dobrą współpracę i nowy człowiek potrafi lepiej ułożyć te stosunki.

W okresie konspiracji uzyskaliśmy wyszkolone kadry i sformalizowaliśmy struktury podziemia. Nastąpiła naturalna reakcja na represje i prześladowa-

nia. To ideowe nastawienie, wypływające z głębokiego przekonania o potrzebie walki z systemem, było szalenie ważne. To, że komunizm się wali, a Europę czekają wielkie przeobrażenia, można było przewidzieć wcześniej. Niektórzy twierdzą, że to nie „Solidarność” obaliła komunizm, ale przepaść technologiczna między Wschodem a Zachodem. Jednak Polska wyróżniała się z innych państw komunistycznych tym, że posiadała kadry i wykreowane struktury podziemia. I wtedy komuniści wykonali mistrzowski ruch, zdecydowali się pójść na ustępstwa, gdy my zrezygnujemy z konspiracji. Sądzę, że wtedy, tzn. na przełomie lat 1986/1987, dały się po raz pierwszy tak wyraźnie zauważyć różnice wśród ludzi aktywnie uczestniczących w „Solidarności”.

Gdy więc doszło do obrad Okrągłego Stołu, byliśmy przeciwni warunkom i sposobowi, w jaki to zrobiono. Przecież czas pracował na naszą korzyść. Komuniści stwarzali jeszcze pozory nieustępliwości. Za podjęcie rozmów w tym czasie zapłaciliśmy rozbiciem „Solidarności”. Przecież jeszcze w grudniu 1987 roku Regionalna Komisja Wykonawcza Mazowsze wydała swój słynny komunikat, że „Solidarność” już nie ma i trzeba działać inaczej. To był szok. Nie wiem, co by się stało, gdyby nie maj 1988 roku, kiedy to młodzi robotnicy ze Stalowej Woli zażądali przywrócenia związku. Polityk nie może nie zauważać faktów. Umowy dotyczyły elit politycznych, ale społeczeństwo miało jeszcze szansę wykonać swój ruch, tzn. nie pójść na wybory.

Zaapelowaliśmy o bojkot tych wyborów. Regionalny Komitet Strajkowy nie uczestniczył w walce o władzę (choć to, co robił, było niewątpliwie walką polityczną), ale zabezpieczał się na wypadek czegoś podobnego do stanu wojennego, obserwo-

■ Obchody XX-lecia powstania NSZZ „Solidarność”. Od lewej: Marek Muszyński, Andrzej Smirnow, Kornel Morawiecki, Wrocław, 1.09.2000



archiwum Komisji Zakładowej



foto. Tomasz Przepiółski

■ Manifestacja Federacji Młodzieży Walczącej na ul. Świdnickiej, Wrocław, listopad 1989

wał przy tym pilnie przebieg Okrągłego Stołu, analizował zapisy obustronnego kontraktu i doszedł do wniosku, że umowy okrągłostołowe nie satysfakcjonują. Wydawało nam się, że czas pracuje dla nas, a skoro pracował, mogliśmy stawiać żądania. Stąd apel o bojkot. Gdyby elektorat go wysłuchał i do wyborów nie poszedł, byłaby szansa na renegocjowanie umów. Historia nam w końcu przyznała rację, ale nasz błąd polegał na tym, że mylnie oceniliśmy stopień świadomości wyborców, mając w pamięci choćby niską frekwencję w kolejnych wyborach do Sejmu, rad narodowych czy w referendum. Ludzie jednak bardzo chcieli uwierzyć, że to już wreszcie koniec.

Dwa lata później, w 1991 roku, zgodziłem się kandydować do Sejmu, bo wtedy były to już wybory wolne i demokratyczne, a sytuacja była chyba jeszcze trudniejsza niż w 1989 roku. Dało się zauważyć zniechęcenie ludzi, którzy gotowi byli znieść trudne warunki, ale musieli widzieć perspektywę, mieć nadzieję i zaufanie do władzy. Nie cierpię nieuczciwości i zakłamania. Uzdrawienie władzy było wtedy najważniejsze.

Po dziesięciu latach ponownie wystartowałem do Sejmu, jako związkowiec duchem, ale z listy Prawa i Sprawiedliwości, choć nie jako członek tej partii. Jedyną moją życiową przynależnością była tylko „Solidarność”!